

4. Ekstremalna Dwójka

A przepraszam?

„X-2”, jedna litera i jedna cyfra, bardzo mocne logo. Litera oznacza iż wydarzenie jest skrajnie ekstremalne, dwójka miała symbolizować najmocniejszą z telewizji – TVP 2. Telewizyjna „Dwójka” towarzysząca Selekcji od chwili narodzin a jeszcze wcześniej kolejnym obozom Combat 56, chciała mieć coś własnego. I tak sobie wymyślili, że Kups zrobi pod telewizyjnym sztandarem zimową grę, znacznie mocniejszą od letniej Selekcji. Pierwsza była właściwie jedynie próbą generalną przed tym co miało nastąpić, druga poszła już ostro a trzecia... Telewizyjne chachmęcenie i zmiany terminów spowodowały, że na starcie pojawiło się jedynie siedmiu ludzi. Kups musiał świecić oczami za telewizyjnych partnerów, którzy nie zdobyli się nawet na gest przeprosin. W efekcie, krótkie spotkanie w górach zakończyło się układem niedoszłych uczestników z majorem – ci którzy ukończyli selekcję, przyjadą na kolejną jako instruktorzy, debiutanci zaś wystartują omijając preselekcję. I tak też się stało. Wróćmy jednakże do X-2, drugiej edycji, w którą obserwowałem od początku do końca. W relacji oprę się na artykule, którego część opublikowałem w „Żołnierzu Polskim”.

Preselekcja

Kłodzko, 22 Brygada Piechoty Górskiej. W nabitej pod sufit ludźmi izbie odwiedzin kończy się tlen. Zjeżdżali się przez całą noc i upychali jeden przy drugim, aby złapać odrobinę ciepła i przespać kilka godzin przed startem. Od ósmej, pod bramą koszar rozrasta się tłumek. „Profi” w nubukowych butach na vibramie i komplecie odzieży termoaktywnej, z wielkim zaciekawieniem, acz dyskretnie oglądają kolesia w dżinsach, adidasach, skórzanej kurtce, i z żelowanymi włoskami. Z dyskoteki koles w wypadł?

Preselekcja odsiewa ziarno od plew, eliminując z gry tych, którzy przyjechali przez pomyłkę lub z nadmiaru fantazji i w dalszej grze będą sami dla siebie stanowili zagrożenie. A także pechowców, bo bez miarki szczęścia nikt nie dojdzie do mety.

Ogłupiające bieganie tam i z powrotem ze skrzynką po amunicji, przechodzenie pod rurą, wskakiwanie na betoniak... Sprawdzian ile wytrzymają mięśnia, ile wytrzymają płuca, czy już na początku nie puści psychy. Po serii ćwiczeń pierwszy odsiew. Kups podaje każdemu z wyeliminowanych rękę: Takie jest życie. Może następnym razem. Koledzy biją odchodzącym brawa. Wielki, fantastycznie zbudowany facet ma łyzy w oczach – miesiące przygotowań, jazda przez całą Polskę i pół godziny zabawy.

Druga tura. Ponownie tor przeszkód. Bieg z termosem, ciężkim i niewygodnym, rozbija plecy i nie pozwalał ustawić rytmu. Przeskakiwanie „ściany płaczu” z odczytywaniem liter – o jedną wcześniej w alfabecie, niż pokazywana przez instruktora. Niektórzy z obłędem w oczach przepowiadają sobie szeptem: a, b, c, d, e... Agnieszka nie ma problemów z kolejnością liter lecz ze wzrostem. Cudem wciąga się w górę, przełazi ścianę i zostaje już tam, po drugiej stronie. Szarpie się rozpaczliwie, bezsilna pod nazbyt wysoką ścianą płaczu. Widać, że szybciej dziurę wydrapie niż przejdzie na powrót. Najlepszy jest Jacek, jeden z Sokołów, w minutę przeskoczył siedem razy tam i z powrotem, i nie posypał się w alfabecie. Z 79 kandydatów do wieczora doczeka ledwie dwudziestka.

Twierdza

Marsz przez całe miasto z koszar do Twierdzy Kłodzkiej i podział na zespoły. Sokołom z Białegostoku udało się tak zamotać, że wszyscy trzej znaleźli się w jednej drużynie. Swoim zwyczajem, chcieli najpierw popatrzeć z boku ale jakoś tak nieporęcznie stanęli, że właśnie im pierwszym „Owsik” wręczył uprząż. Paweł rozpoczyna napowietrzną wędrówkę między murami, przesuając się w pozycji żaby na dwóch poziomych, równoległych linach. Sunący za nim Jacek chce udoskonalić i przyspieszyć przejazd, pomagając sobie nogami ale luźne „sznurki” kołyszają się gwałtownie. Krzyk Pawła: - Ciągnij samymi rękami! - Posłuchał, przy okazji zdzierając sobie skórę na rękę, aż do żywego. Po zakończeniu kolejki instruktorzy zaproponowali poprawkę. Krótka narada w sokolej grupie, czy warto inwestować siły, i szybka decyzja. W powtórce Jacek pokonuje trasę dwukrotnie szybciej.

W podziemiach nie ma większych problemów, chociaż ktoś nieuważny łatwo może się zamotać. W ciemnościach ktoś szturcha Jacka i jęczy: Potrzebuję pomocy! Biegący w ostatniej sekundzie zauważa, że pod murem leży ranny człowiek z wyprutymi wnętrznościami. Krótkie myślenie – udzielić pomocy i stracić czas? Biegnie dalej. A przy wyjściu niespodzianka, bo nikt nie pyta o konającego, instruktor podtyka pod nos tablicę i każe rozpoznać figury geometryczne w takiej kolejności, w jakiej były rozwieszane w tunelach. To damska konkurencja... Serio, szczegóły najlepiej pamiętają dziewczyny.

Na dwudziestometrowym, lekko pochylonym murze twierdzy rozwieszono jedną nad drugą opony. Tam właśnie, po słabo przespanej nocy, szarpaninie i nerwach preselekcji, Jacka dopada ostry kryzys. Wspina się od kilku lat i cóż to za trudność takie opony. Nagle owdładnęło nim nieznane wcześniej uczucie... Wychłodzenie stanowiące krótką drogę do hipotermii. Ciało przenika paralizujące zimno, psychę dusi totalna niemoc i zniechęcenie. „Sokoły”, niczym kuropatwy zbijają się trójką w stadko by nie tracić temperatury. Trzech przytulonych facetów nie wygląda hardcorowo ale liczą się efekty.

To ściema?

Dokładnie 42 metry po drabince speleo. Na dole nie mniejsza atrakcja, należy wskoczyć na góralskie tratwy, z nich wspiąć się po wielkiej sieci na most. Emocje i krzyki licznie zgromadzonej publiczności, gwizdy i krzyki dla chłopaków i aplauz dla Agnieszki.

Miejscowi kolesie ryczą pośrodku nocy: Nie bawcie się w wojnę! Bądźcie wolni! To wszystko ściema! Ściemy nie ma, kolejna wyliczanka, rytualne pożegnanie, uścisk dłoni majora: - Takie jest życie, może następnym razem... W szyku zostaje równo dwudziestka. Zmęczeni, przemarznięci do szpiku, zdają sobie sprawę, że właśnie w tej chwili rozpoczyna się Ekstremalna Dwójka.

Mianowani przez Kupsa dowódcy dobierają sobie ludzi. Paweł wskazuje na Krzyśka a tamten Jacka. Jacek daje gwałtownie sygnały, żeby nie... Za późno, trójka Sokołów zostaje rozdzielona. Kups, podejrzenie troskliwy, pięć razy pyta wszystkich o zdrowie, o stan serduszka, klaustrofobię i czy ktoś przypadkiem nie boi się zamieszkujących twierdzę zwierzątek? Bo przecież nikt nic nie musi, z gry zawsze można się wycofać. Bardzo proszę, wystarczy podnieść rękę. Nie wiedzą do końca, czy szefowi gry rozwinęły się nagle instynkty macierzyńskie, czy to kolejna, wredna podpucha.

Paweł prowadzi swoich do podziemi. Stłoczeni, zasypiają natychmiast kamiennym snem. A on nie śpi. Z góry na głowę kapie woda, nasycone kurzem powietrze drażni gardło. Około czwartej w nocy stały fragment gry, szybka zbiórka, czas dwie minuty - lekarz przygląda się każdemu uważnie - i z powrotem spać.

Rankiem wymarsz do koszar, instruktor forsuje ostre tempo. Dwójka, po jednym z Alfy i z Bety, rezygnuje. Cholera, w takim momencie, gdy weszli do dwudziestki i mają szansę wziąć udział w rozpoczęciu gry? Tłumaczą, że nie nadążają a nie chcą być kotwicami dla swoich zespołów. Wymiękli!

Pozostałych Kups sadza na kamiennej posadzce korytarza, między nogi karteczka i szybkie wpisywanie odpowiedzi na kolejne durne pytania: Ilu instruktorów stało w hali podczas rozpoczęcia? Ile razy powtarza się słowo „się” w tekście, który wkuwali na pamięć? A jakie jest trzecie słowo od końca w tym tekście? I ile było przecinków? A do tego rzuca literę i należy podać jaka jest o trzy pozycje wstecz lub do przodu, i jeszcze dodawanie na czas... i tak bez końca. Po kolejnym pytaniu, co rusz ktoś, zupełnie ogłupiały, zastyga z ołówkiem w ręku.

Akrobata i Sokoły

Teraz, po dobie. Zaczyna się właściwa gra. Zostawiają depozyty, ubierają stroje sponsorującego grę Bergsona. Od tej pory nie mają nazwisk, imion, żadnych cech identyfikacji, poza przydzielonymi numerami. Numerem jest Rafał, ratownik medyczny szykujący się do pracy w Policji, który biega, pływa, nurkuje i odnosi sukcesy w mistrzostwach ratowników wodnych. Mariusz, który po obejrzeniu w telewizji odcinka „X 2” wysłał zgłoszenie. Na co dzień zajmuje się serwisem maszyn do analogowego i cyfrowego przetwarzania obrazu, nadto jest instruktorem tekwondo i „emerytowanym” artystą cyrkowym. Występował z siostrą na trapezie dwójkowym. Z Marcina koledzy drwili, że preselekcji nie przejdzie. Przygotowywał się biegając po górach, błotach i bagnach i miał w niej najlepsze wyniki. Łukasz student AWF, rugbista i koszykarz, nigdy nie próbował wspinaczki, Szczepan należy do harcerskiej drużyny „Hornet”, zespołowego zwycięzcy „Pustynnej Burzy”, Jacek „Mozart” w letniej Selekcji był piąty, liczy sobie 33 lata i specjalizuje się w biegach ulicznych. Numerami są Piotr oficer wojska i Agnieszka, która topi śnieg swym uśmiechem... Wszyscy, od tej chwili są jedynie numerami.

Numerami są również Paweł, Krzysiek i Jacek z Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” w Białymstoku, uważani tu niemal za „prosów”, bo jako jedyni mają wsparcie w przygotowaniach. „Sokoły” uprawiają wspinaczkę, speleologię, spadochroniarstwo, nurkowanie, sztuki walki. Biegając dziesiątki kilometrów i ćwicząc na siłowni, robiąc formę do najtrudniejszych w kraju rajdów przygody i super maratonów na orientację. Zaznaczyli już swą obecność w Winter Challenge, Salomon Adventure, Harpaganie. Paweł przed dwoma laty wygrał Selekcję, w ubiegłym roku dokonał tego ich kolega Marcin, zaś Tomek trzykrotnie ukończył grę. Dwadzieścia niezwykłych, bogatych osobowości zostaje przydzielonych do dwóch grup Alfa i Beta, i zapisanych w kolumnach liczb.

Marsz wylodzonymi chodnikami, dalej poboczem zaśnieżonej drogi za miasto, w kierunku Międzylesia przez Jazdkową Dolną, Jazdkową Górną. Idzie się źle, za dużo cywilizacji, gapiów, śmierdzących samochodów. Prowadzi dowódca Alfy ale po w pierwszej wpadce nawigacyjnej, jego rolę przejmuje dowódca Bety. Po paru kilometrach, śnieżną rynną zasypanej drogi odbijają w pola. W połowie łagodnego podejścia pchanie kupsowej terenówki – Jak wepchniecie, to na górze dostaniecie herbatę.

„Sokoły”, na rozkaz wyciągają z samochodu wielki termos a przy okazji zwijają parę kanapek przygotowanych dla instruktorów. Cóż, szkoła przetrwania. Gorąca herbata i konserwy stawiają ludzi na nogi. Piękny widok, kościelna wieża w ośnieżonej scenerii... Pół

marszem, pół biegiem, przez zapadający się pod nogami śnieg, pędzą do tego kościoła. Za nimi dyszy mocny Jacek z kamerą. „Telewizory” również mają tu niezłą selekcję.

Kamery dopadają cię wszędzie.

Wystarczy, że wykonasz gwałtowniejszy ruch, zaczniesz zostawać z tyłu, ciężko dyszeć, pić wodę, rozpakowywać plecak lub patrzeć w niebo... natychmiast lufa obiektywu celuje ci w głowę, dźwiękowiec futrzakiem na kiju zbiera twoje słowa, sapnięcia, westchnienia. A z boku „Młody” obwąchuje cię maleńką kamerką niczym pies, pcha ją do twoich ust za łykiem wody, i za kęsem pożywienia.

I nagle wychodzisz z ogłupienia, zaczynasz jarzyć, że każdy twój grymas, gest, przypadkową łzę obejrzą miliony. Próbujesz coś zrobić ze sobą ale osaczony przez obiektywy poddajesz się szybko. Poddajesz się, gdyż walcząc resztkami sił o przetrwanie w grze, nie masz już zupełnie sił na udawanie kogoś innego, nie masz już sił na nic. Wiesz doskonale, że oni ten twój wielki mózół, nadludzki wysiłek dzień po dniu, i twój strach przed odpadnięciem z gry, podzielą na kadry, na ujęcia, na odcinki, dołożą do tego podkład muzyczny i efekty specjalne. A tobie już dawno przestało w duszy grać. Nie masz chwili wytchnienia między ujęciami, idziesz w mrok, w śnieg, w przenikający nocą chłód, czując jak wyczerpują się zapasy energii, jak kończą się siły. I wiesz, że jeśli padniesz na szlaku, lub zostaniesz wyeliminowany, dopadną cię natychmiast. Z czasem więc przestajesz o nich myśleć, przestajesz jakby ich dostrzegać.

Chociaż nie do końca, bo operatorzy mimo milczenia, mimo swej bezosobowości, są znakomitymi informatorami. Jeśli powoli okrążają odpoczywającą przy ognisku grupę, to masz jak w banku, że za chwilę będziesz bohaterem kolejnej, dynamicznej akcji. Nie wiesz jeszcze tylko, na czym będzie polegała. Gdy światła gasną i znika ekipa telewizyjna, a za nimi odchodzą instruktorzy, jeszcze chwilę wszyscy trwają w oczekiwaniu, czy gdzieś z zakamarka nie wypełźnie facet kręcący intymne sceny w podczerwieni.

Monstrualne i bezsensowne

Przy tak forsownym marszu trzeba regulować ciepłość ciała i nie dopuścić do nadmiernego zapocenia odzieży, do ugotowania się. Przegrzanie może być groźniejsze od wychłodzenia. „Sokoły” nieustannie rozbierają się i ubierają podczas marszu: - Rozpięta kurtka zwiększa chłodzenie, zdejmuję rękawiczki, zamiast kominiarki, na głowę naciągam przewiewny kaptur. Po zatrzymaniu luzuję na sobie ciuchy, by z lekka odparowały, następnie znowu uszczelniam, nie chcąc przesadzić z chłodzeniem. I nieustannie trzepiemy odzież ze śniegu. Robimy to szczególnie starannie, gdy mamy zasiąść przy ognisku.- dzieli się doświadczeniami Paweł.

Pod kościołem ładują się na stara. Parę kwadransów odpoczynku pod budą skaczącego na nierównościach pojazdu. Są sami, więc mogą spokojnie zjeść zdobyczne kanapki. - No, nieźle się ci nasi oprawcy odżywiają.

Peryferia Łądką Zdroju, ostatnie zabudowania, nieprzetarta droga przez białą polanę, kapliczka, mostek - Wrzosówka. Zaczynają się góry. Wszystko jest z góry na dół i z powrotem a do tego mnóstwo śniegu. Nikt jeszcze nie zna stawki sukcesów i porażek ale widać, że Kups nakręca rywalizację między Alfą i Betą. Parę minut na piechotę i kolejne zadanie wysokościowe – jumarowanie pod katem na skałkę, przepina i zjazd. Wspinacze, niczym kolejka linowa, jadą szybko i rytmicznie. Powtórka prostych zadań wspinaczkowych z twierdzy, w warunkach górskich.

Radiopelengacja nie jest trudna technicznie lecz wyczerpuje siły. Trzeba ciąć z anteną na azymut, nie bacząc na teren. Kopią się w śniegu, zapadają po kolana, i głębiej. Nikt się wprawdzie nie skąpał w przegradzającym szlak strumyku ale problem mokrych nóg staje się powszechny. Kiepskie buty, szczególnie nie schnące wojskowe „miwy” na każdą – czytaj na żadną – porę roku, puściły już na początku. Teraz, mimo membran i impregnatów, straciło szczelność również markowe obuwie. Grupa Beta dostaje zadanie wdrapania się na górę, Alfa zaś startuje z handicapem z równego. Przewaga Alfy topnieje jednak podczas rozbijania namiotu.

Spanie zimą pod namiotem, samo w sobie nie jest wielkim wyczynem. Problem w tym, że ta cholerna, wojskowa buda waży tonę, składa się z wielkiej, nieporęcznej w transporcie brezentowej płachty i rozsypującego się stosu żelastwa. Należy to przetaszczyć po głębokim śniegu, następnie zmontować stelaż, naciągnąć... Nikt z nich nie stawiał nigdy czegoś równie monstrualnego i bezsensownego. Nic tu do siebie nie pasuje, konstrukcja wali się co chwilę, jeszcze jakaś niebieska podpinka, nie wiadomo czy na początku ją wiązać czy na końcu. A czas biegnie.

Gdy chałupy stoją, rozpalają ogień, gotują wodę w kociołkach. Instruktorzy odbierają całą żywność. Paweł, sporo ryzykując, wyrzuca dwie konserwy w śnieg ale nie ma potem czasu by po nie wrócić: - Pozwolili nam wybrać jeden z trzech proponowanych zestawów żywnościowych: pół świńskiego ryja - od razu rośnie mi w gardle, świńskie nogi lub podgardle, na widok którego zbiera mi się na wymioty. Cóż, ludzie w skrajnych sytuacjach zjadali ciała swych towarzyszy. Szczęściem, gdy łykamy po parę łyżek rozwodnionej zupy pomidorowej z proszku, pada komenda ewakuacji. Wywalamy mięsko, co będzie nam wytykane do końca zabawy.

Po kolacji – mistyfikacji, bieg kilkaset metrów do bazy szefostwa gry, tylko po to, by się dowiedzieć, że należy wrócić z powrotem i przenieść tu namioty. Czysty absurd. Cała ta gra wydaje się w takich chwilach absurdalna. Zaczyna się ciężkie kumanie: jeśli przeniesiemy namiot w całości, to jesteśmy do przodu o koszmar budowy. Oczywiście, gdy Kups zobaczy że ułatwiamy sobie życie, zaraz wymyśli coś idiotycznego. A może? Namiot drga, unosi się w górę, po czym bujając się i klnąc sunie w kierunku drogi. Stop! Utyka między drzewami. Chwila walki, krzyków, prześcigania się w dobrych pomysłach i konstrukcja wali się, grzebiąc ludzi pod ciężką płachtą. Koszmar. I jeszcze te cholerne, wszędobylskie, jakby naigrywającego się z ich trudu kamery. Ponowne budowanie jest znacznie łatwiejsze... W efekcie jeden namiot staje jedynie od frontu, od zadka płachta zwisa smętnie... Bo w ciemnościach nic nie chciało do siebie pasować.

Łzy Agnieszki

Tej nocy zmienia się system wykluczania. Po raz pierwszy zespoły swoich eliminują kolegów. Jedna z najtrudniejszych chwil w całej grze! Zwycięska grupa Beta, robi to demokratycznie, poprzez głosowanie. Paweł: Nie podobała nam się ta telewizyjna zagrywka, znana z modnych ale nędznych programów. Jestem dowódcą, wiem że wszyscy ludzie sprawują się znakomicie, poziom jest równy, więc podaję siebie. Zaczyna się przepychanka słowna i w rezultacie nie mam wyjścia, bo wcześniej przyjąłem reguły gry.

A potem już kolejno podchodzą do kamery, wygłaszają teksty na temat zgrania i solidarności w grupie, następnie odstrzelują jednego z kolegów: jest najślabszy, zostaje na trasie, niech się już nie męczy; nie mogę się z nim dogadać; bierze grę nazbyt serio, zero poczucia humoru, rozwala atmosferę w grupie; nie ma odpowiedniego śpiwora i spodni, w nocy

marznie, nie śpi, długo tak nie pociągnie, bo jest ich dwóch z Sokoła i będą się popierać. Podczas kolejnego kasowania, któryś z chłopaków stawia sprawę jasno: Dotąd eliminowaliśmy najsłabszych, żeby wzmocnić siłę grupy. Teraz poziom jest wyrównany a z uczuć łączy nas jedynie wspólne zmęczenie... Z czasem ból eliminacji będzie coraz mniejszy.

W przegrywającej Alfie ciężar selekcji musi wziąć na siebie dowódca. Piotr spokojnie i pewnie wypowiada imię: Agnieszka! Dziewczyna wychodzi szyku i niknie w ciemnościach. Nie chce, by ktoś dostrzegł łyzy. A przecież Agnieszka ma prawo do łyż. Jeszcze godzinę temu zbiegała razem z nimi w dolinę, tonąc niemal w śniegu, ciągnęła żelastwo namiotu, aktywna, pełna energii. Wydawało się, że w niczym nie odstaje od grupy. Piotr biegnie za nią, przytula skazańca, rozmawiają chwilę.

Dlaczego Agnieszka? Dalsza gra mogłaby być niebezpieczna dla jej zdrowia. Piotrek domyśla się, że tak naprawdę, to wszystko co najlepsze dopiero mają przed sobą. Agnieszka zaszła bardzo daleko, dalej niż pozostałe dziewczyny. W dalszej grze ciągnęła by grupę w dół. Na tym etapie uczestnicy wycinają najsłabszych a nie tych, którzy mogliby im zagrażać w zwycięstwie.

Po ceremonii eliminacji zbiórka. Namioty zostają a grupy brną po kolana w śniegu, przed dolinkę, przez strumień, i zalesionym zboczem w górę aż do jakiejś kolejnej starej fabryki – ruiny, z kawałkiem dachu. Głodni, bez żarcia, rozpalają ognisko i suszą mokre ubrania... i zasypiają bardzo szybko, nie kontrolując rozłożonych przy ogniu ciuchów. Paweł stopił w ten sposób dwie pary skarpet, któryś z chłopaków upiekł buty. Strzelające iskry uczyniły spustoszenie w polarowych rękawiczkach i śpiworach. Nic to, w porównaniu z perspektywą spędzenia nocy w chłodzie. Po paru godzinach niezmordowani instruktorzy budzą wybrańców, i przeprowadzają im test na inteligencję. Jeden z zawodników zupełnie nie może zaskoczyć, nie kuma o jaki numer tym facetom chodzi.

Rankiem zabawa z minami. Dostają dwa białe pola, dobre 20 na 20 metrów i ruszają przed siebie z wykrywaczami. Marna konkurencja dla pechowców, bo mina może być wszędzie. Jest!!! Teraz na pole rzuca się dwóch ludzi, wrywają przeciwpancerne talerze i biegną z Wrzosówki do wsi a stamtąd, z zasłoniętymi oczami pod górę. Dowódcy przez radio kierują minerami, którzy muszą posadzić dokładnie w wyznaczonym miejscu.

Owczarnia

Po kolejnym, ciężkim dniu zakończonym forsownym marszem, zasypiają w grocie zwanej przez miejscowych Owczarnią, bo latem często stanowi koszar dla pasącego się na zielonych zboczach stada. Pod kamiennym sklepieniem zmieściłaby by się bez trudu setka ludzi. Rozpalają ognisko z byle czego i bardziej się wędząc niż grzejąc, zasypiają.

Jest już po północy, gdy na szosie zatrzymują się terenówki i przetartym przez nich śladem rusza ku pieczarze pielgrzymka – operatorzy, oświetleniowiec, dźwiękowiec, instruktorzy i lekarz.

Atak Hunów poderwałby na nogi nieboszczyka. Oślepiające światło, lufy kamer niemal przy głowie, wrzask Sęderka i Grzybka: Wstawać, przygotowanie do zbiórki, czas dwie minuty! Wrzeszczą, żeby utrzymać atmosferę, czas odliczają swoim sposobem – jedna minuta ma minutę, druga pół minuty... W ich wrzasku nie ma złości lecz wojskowa rutyna. Wszyscy mają oczy szeroko otwarte, zbierają drobiazgi, zwijają karimaty. Najgorsze jest to, że nie można się nawet domyślić co będzie dalej. Powrzeszczą i pójda? Zapowiada się marsz. Rundka i z powrotem, do łóżeczka? Czy przez góry, brnąc w śniegu, do samego rana?

Rundka ale zajebista, bez szansy na rozgrzanie, na ułożenie oddechu. Z góry i od górej, w rwanym rytmie... Rozbieramy się i kładziemy spać! Czas dwie minuty. Sprawdzają czy wszyscy w śpiworach, czy buty na zewnątrz. I zgodnie z przewidywaniem, kolejna pobudka. Wrzask i liczenie czasu... Wymarsz? Nie, ponownie kładziemy się spać na tempa. Jaki masz numer, skąd jesteś? Z Bety? Przecież jesteś z Alfego. Tam jest Alfa. Zawodnikowi płacze się numer i grupa. Wreszcie ktoś zaskakuje. Chłopie, nie swoją kurtkę założyłeś. Ludzie są dobici i zamotani. Jeszcze jedna, dwie akcje i psycha im puści.

Instruktorzy mówią dobranoc i wychodzą. Chłopaki leżą w rozrzuconym popiele przy dogasających ogniskach i ani który drgnie. Kolejna ściema, bo operatorzy zostali, więc będzie poprawka. W tej grze najwięcej można przewidzieć obserwując zachowanie operatorów kamer.

Wracają: Zapomnieliśmy wam przekazać prezent od Arka Kupsa. Każdy dostanie wierszyk, którego nauczy się do rana. Życzymy dobrej nocy. W drodze do samochodów instruktorzy opowiadają: Sęderek był dowódcę grupy Grzybka i Zygiego, w plutonie Kupsa. Arek zrobił im kiedyś taką zabawę nocną z wymarszami. Po kolejnym razie byli pewni, że musiało mu się znudzić. Wrócił raz jeszcze, pobudka, wymarsz. Odpuścił w środku nocy ale nikt już nie położył się spać. Siedzieli w butach i ubraniach, oparci o plecaki w oczekiwaniu wymarszu, do białego rana. A rankiem, zaczęły się zajęcia.

Dobrej nocy! W takich momentach niewypowiedziana złość, uczucie niesłuchanie bliskie nienawiści, hamowna jest jedynie instynktem przetrwania. Nie słyszałem! Ryczą więc ile tchu: Dobranoc!!!

Serce wyrównuje rytm pracy, oddech wraca do normy. Pot lepiący ubranie do ciała zaczyna gwałtownie stygnąć a jadowite strumienie zimna wciskają się do śpiwora. Popiół ognisk rozświetlają pojedyncze ogniki żaru. Zostają sami i dają upust hamowanym emocjom. Wielu z nich zbliża się niebezpiecznie do tej cienkiej, niewidocznej linii... Nie tają tego przed sobą. A przecież wystarczy zejść przetartym szlakiem na dół, przeskoczyć raz jeszcze wąski strumyk, wygramolić się na szosę. Na pewno, tak jak każdej nocy czuwa w pobliżu patrol bezpieczeństwa, lekarz i instruktor. Z drugiej strony, tyle już mają za sobą, taka zajebista inwestycja... Inni przeszli to samo piekło. Dobrze, że są inni. Teraz nie rywalizują ze sobą, traktują się jak jedno stado, z którego wkrótce kolejny baran zostanie przeznaczony na rzeź. Zbliżają światło latarek - czołówek do kartek i czytają głośno: „Brzozom siekierą żyły otworzę, Ciachnę przez ciało, rąbnę przez korzeń, Lepkim osoczem brzozy ubroczę, Na rany białe wargami wskoczę”... Trzy krótkie, rytmiczne zwrotki wiersza Tuwima ćwiczą do trzeciej rano.

Rankiem trudna pobudka. Zimno, bo po ogniskach został rozmielony przez wiatr popiół, uciekły gdzieś w cholerę wkuwane niemal do rana strofy wiersza: „Brzozom, siekierą żyły otworzę”... No, nie jest najgorzej. I widać, że szykuje się lepsza zabawa. W ramach zaprawy porannej taszcza do jaskini sprzęty kuchenne i ...zawodowego kucharza ubranego na bojowo. Podobno gość jest z górnej półki w swoim fachu. Pieczone rozsiewa niebiańskie zapachy. Mięso należy podlać dobrym winem, sałatkę przyozdobić oliwkami. O, w dobrej knajpie tak gotują. Po długiej już głodówce, po tych świńskich ryjach i kopytach, przyrządzanie posiłku traktują jak grę wstępną. Rozsmakowują się w woniach, karmią oczy najwspanialszym obiadem świata... Wiedzą doskonale, że musi w tym być kolejny podstęp, że za chwilę nastąpi koniec projekcji. No i jasne, atak ślinianek, przedwczesny wytrysk i po uczcie. Kups zaprasza, zachęca, wręcz namawia. Oczywiście, kto przełknie pierwszego kęsa, będzie już po tamtej stronie linii. Kurwa, teraz doby byłby i świński ryj z wyszczerzonymi zębami.

Poprzez amfiteatr kamieniołomu Owsiki pociągnęły blisko stumetrową, podwójną tyrolkę. Dla ułatwienia, zawodnicy ścigają się parami z dołu pod górę. Zwycięstwa i mierzone czasy mają przesądzać o dzisiejszym odsiewie. Pozostali palą ogniska, jedzą konserwy, coś piją, usiłują wysuszyć mokre buty.

Kopalnia złota

Tu wszystko, nie widzieć czemu, robi się biegiem, albo wręcz przeciwnie, zastyga w nicnierobieniu na długie, dołujące kwadransy. Dwie minuty na rozbebeszenie wszystkiego, wywalenie żarcia z plecaków, z kieszeni, do jednego okruszka. Widać, że biednie, mało co tego zostaje na śniegu. I znowu wariackie tempo, ubierania, pakowania, dopinania. Instruktorzy zaczynają przeszukiwanie. Rentgen to przy nich pikus. U dowódcy grupy znajdują w kieszeni srebrną saszetkę z jedną porcją syfiastej kawy z wojskowej „eski”. Któryś z jego ludzi również „schował” jakiś drobiazg. Wybucho afera! Przecież tym się w żaden sposób nie pożywi? Nie ważne! Absurd? Nie ważne, co ty o tym myślisz. Miałeś żarcie w kieszeni i musisz ponieść konsekwencje. A kara jest jedna. Pompowania nikt nie uważa za karę. Nie, nie jesteś złym człowiekiem. Masz facet pecha a pechowcom dziękujemy.

Kopalnia złota i kopalnia uranu. Jeszcze wędrowanie – dobijanie a w kopalni złota płyną wzdłuż wąskiej sztolni wielką łodzią i recytują wiersz. Czysta egzotyka. Cholerne pamięciówki! Podobnie w kopalni uranu, bieg z jakąś skrzynką w ciemnościach i odpytywanko. Legendarny duch górników, pewnie zajadów ze śmiechu dostał. Z drugiej strony człowiek nie myśli o tym, że paliwo się kończy a do finału daleko, że śnieg, zimno i noc, tylko w myślach przepowiada wszystko to, o co go nie wiadomo kiedy znowu złączą pytać: Ilu instruktorów stało na zbiórce, ile było przecinków w deklaracji, jaki kod miał facet na rogu ulicy... i wierszyk: „Brzozom siekierą żyły otworzę...”

Finałowa czwórka.

Gdyby tej ostatniej nocy nie spędzili w ciepłe koszar, byłoby po zawodach. Rankiem jest jakoś inaczej, spokojnie, bez krzyku, jakoś tak przyjaźnie i miękko. Jacek: - Bardzo mi się podobał ostatni dzień. Napisali nam na plecach nazwy ulic i do ich skrzyżowania należało dobiec. Facet, którego poprosiłem o pomoc źle odczytał a może sam poplątałem. Rozkładałem mapę i podwijałem koszulę, nie patrząc na reakcje ludzi, nie mogących pojąć, co taki świrus wyprawia w niedzielny, zimowy ranek. I wreszcie dziewczyny, przed którymi się obnażam, wskazują mi skrzyżowanie na peryferiach. Nie muszę się spieszyć, biegnąc z górki dostrzegłem trzy białe kaski na mecie. Jestem więc czwarty w tej grze.

Drabinka speleo spuszczone z barierki mostu. Przypomina się narzędzie tortur z pierwszego wieczora w Kłodzku. W lodowatym wietrze należy zejść i wejść z powrotem. Tylko tyle. I nagle kończą się zgrabiałe od mrozu dłonie. Kolejne chwytamy ręką ugiętą w łokciu, nieludzki skowyt przy każdym chwycie.

Finał. To była najbardziej zajebista jazda w życiu, 130 metrów, lekko w dół, z murów twierdzy na wieżę ratusza. Taki wyścig mógł wymyślić jedynie maniak wspinaczki. To było jak „wyłozenie na żywca” Mariotta.

Zamiast zakończenia

Nie oczekujcie zamknięcia tej historii, skoro jeszcze trwa.

